

## Wyczyszczeni. "Załatwialiśmy się do woreczków foliowych"

Ludmiła Anannikova

12.02.2013 ,



Demonstracja mieszkańców kamienicy z ul. Piaskowej jesienią 2011 roku (Fot. Łukasz Cynałewski / Agencja Gazeta)

**Doniczki wrzucali ludziom przez okna, dewastowali mieszkania. Na kratkach wisiały zdechłe szczury. - Zimą mój dzień zaczynał się od skuwania fekaliów z klatki schodowej, bo płynąca schodami kanalizacja zamarzała - mówi Karolina, jedna z ofiar "czyściciela" kamienic z Poznania**

Piotr Ś. jest znany jako "czyściciel" z ul. Stolarskiej, bo od ponad pół roku próbuje zmusić do wyprowadzki mieszkańców kamienicy przy tej ulicy na Grunwaldzie. Ale już wcześniej, po cichu, wykurzał lokatorów z poznańskich kamienic. O koszmarze, jaki im zafundował, opowiadają ofiary Piotra Ś.

### **Maria: Czuję, że jestem na piekła dnie**

Tabliczka przy drodze obwieszcza koniec Poznania. To przystanek "Borówki" na Kobylepolu. Zaśnieżoną ścieżką idę do ukrytego na tyłach ulicy ośrodka dla bezdomnych. Umówiłam się tu z Marią, kiedyś lokatorką kamienicy przy ul. Długiej.

Na korytarzu baraku wita mnie niska blondynka. Właśnie skończyła 60 lat, wygląda na starszą. Mówi, że nie czuje już nieprzyjemnych zapachów schroniska, przyzwyczyła się.

Do noclegowni trafiła przez Piotra Ś. W kamienicy przy ul. Długiej pojawił się w czerwcu 2011 r. Ostatnią lokatorkę, właśnie Marię, wykurzył z domu 1 grudnia.

Na Długiej Maria mieszkała z psem w 30-metrowej kawalerce. Miała tylko 700 zł renty - ciągle choruje na zapalenie płuc i

ma astmę - ale regularnie płaciła czynsz. - Dostawałam dodatek mieszkaniowy, płaciłam 150 zł, dawałam radę. A potem pojawił się Piotr Ś. W biały dzień rozwalił bramę wejściową, walił młotkiem w domofon. Nikt nie wiedział, o co chodzi, wszyscy się bali. Mieszkało u nas dużo starszych ludzi.

Ś. zaczął wieszać kartki, że jest właścicielem kamienicy, ale nie zostawił żadnego adresu. - Dopiero po tygodniu dowiedzieliśmy się, że jest to firma Fabryka Mieszkań i Ziemi. Ale i tak nie szło się z nim skontaktować, był nieuchwytny. Potem rozrył podwórko - opowiada Maria.

Wspomina, jak w środku lata lokatorzy tonęli po kostki w śmieciach. - Ludzie z ulicy zaglądali, dziwili się, co tak śmierdzi. Była straż miejska i sanepid. Panie wypisywały Piotrowi Ś. kary i odjeżdżały. A on płacił.

Pewnego dnia Ś. przyszedł do Marii po pieniądze: - Walił butem w drzwi i wrzeszczał: "Ty, kur... otwieraj, przyszedłem po czynsz". Nie otworzyłam. Po godzinie przyjechała policja. Powiedziałam, że ja nie zapłacę, bo nie wiem, kim ten człowiek jest. No to przyszedł za kilka dni i mówi, że nie chce ode mnie pieniędzy, ale polikwidował dodatki mieszkaniowe. Nie wiem, jak to załatwił, ale nagle czynszu miałam do zapłacenia 530 zł. Kiedy Ś. pojawił się na Długiej, w kamienicy mieszkały 32 rodziny, tylko cztery pojechały na policję. - Spisali nasze nazwiska, opowiedzieliśmy w jakiej sprawie. W końcu nas nie przyjęto. Po półtorej godzinie czekania zobaczyliśmy współnika Ś. - Pawła Ż., jak wychodzi z komisariatu i przebija z policjantami piątki. No to już byłam pewna, że zaraz się zacznie. Jeszcze tego samego dnia cztery razy policję wzywaliśmy. Bo doniczki wrzucali ludziom przez okna. Na kratkach okiennych na podwórku znaleźliśmy wiszące zdechłe szczury - opowiada Maria.

Wspomina, że Fabryka Mieszkań i Ziemi szukała lokatorom mieszkań. - Jeździliśmy oglądać, wszystkie za ponad 800 zł. A ja mam renty 600. Jakaś paranoja.

Pierwszego grudnia Maria poszła do schroniska. - Zostałam sama w całej kamienicy, wody nie było od półtora miesiąca. Reszta lokatorów uciekła: do rodziny, do innych mieszkań. Ja nie miałam gdzie. Gdyby chociaż jakieś porządne odstępnę zaproponowali, ale Ś. zaproponował 2 tys. zł. Najpierw nie chciałam ich wziąć, potem się zgodziłam. Wydałam wszystko na psa, bo musiał zamieszkać u mojej koleżanki.

Pierwszy dzień w schronisku? - To szok. Czułam, że jestem na piekła dnie. Dla tych, co przyszli z ulicy, jest tu w porządku: mają ciepło, dostają jedzenie, mogą się wykąpać. Ale mnie dosłownie wydarli z mieszkania. I byłam przerażona. Ta liczba ludzi, ten rygor... Wiem, że muszą go narzucać, by wszystkich ogarnąć, ale mnie to nie pasuje. Ciągłe są jakieś konflikty. Jak jest lato, to uciekam do lasu, spaceruję. W zimie siedzę w ośrodku, boję się rozchorować, i tak co miesiąc ląduję w szpitalu.

Maria chciałaby opuścić schronisko, ale boi się, że za jego murami sobie nie poradzi. - Terapeuci mówią, że to zły objaw, że zaczynam się zadomawiać, ale co mam zrobić? Mieszkanie na wolnym rynku nie jest na moją kieszeń. Prosiła miasto o lokal socjalny. - Urzędnicy najpierw dawali nadzieję, ale później odmówili. Powiedzieli, że na 2013 r. nie mam co liczyć.

Szuka koleżanek, z którymi mogłaby wspólnie coś wynająć. Ma jedną znajomą, ona też przeżyła ataki Piotra Ś. Ale nawet w dwie nie stać ich na wynajęcie mieszkania.

### **Karolina: Załatwiliśmy się do woreczków foliowych**

Piotra Ś. do końca życia zapamiętają Grażyna i Karolina Skrzypczak, matka i córka.

Z synem Karoliny, wówczas siedmioletnim Tomkiem mieszkały w kamienicy przy ul. Strusia na Łazarzu. We wrześniu 2010 r. do ich drzwi zapukali pracownicy nowego właściciela, spółki Beneficial. - Weszli, porobili zdjęcia, kazali się

wyprowadzać. Zaproponowali 15 tys. zł odstępnego - opowiada pani Grażyna. Właśnie skończyła remont i nie miała zamiaru zostawiać mieszkania nowym właścicielom w prezencie. - Powiedziałam, że chcę więcej pieniędzy, albo mieszkanie zamienne, do którego mam prawo.

Tydzień później w drzwiach Skrzypczaków stanął Piotr Ś., przedstawił się jako właściciel i dał miesiąc na przeprowadzkę. A kiedy czas minął, z współnikiem Pawłem Ż. zaczęli dewastować kamienicę.

- Zdemolowali poręczę, odcięli prąd i kablówkę, a potem wodę. Na podwórku zrobili śmietnisko. Nie wiadomo skąd pojawiły się łapczany, lodówki, szmaty... Po kamienicy biegały szczury, które Paweł Ż. mordował pogrzebaczem. Słyszałam potem, że hodowali je w biurze - wspomina Karolina.

W grudniu znalazła mieszkanie na Wildzie. Ale do kompletnego remontu. - Ś. i Ż. obiecali, że jak się na nie zgodzimy, to oni je wyremontują, obiecali nawet kabinę z hydromasażem - wspomina Grażyna Skrzypczak. Skończyło się na postawieniu ścianki działowej i zawieszeniu starych, zabranych ze Strusia grzejników.

W mieszkaniu słoma dosłownie sterczała ze ścian, nie chciałyśmy tam mieszkać, zostałyśmy na Strusia - mówi Karolina.

No i zaczęło się. Ś. i Ż. rozbijali ściany, niszczyli dach. - Sąsiadom z góry nawet wrzucili śnieg do środka i nasikali - wspomina pani Grażyna. Do dziś nie może zrozumieć, jak ojciec i dwójka dorosłych synów z zaatakowanego mieszkania mogli na to nie zareagować. - Tylko my, baby, wszędzie łaziłyśmy za tymi bandytami. Żaden facet nigdy nie wyszedł.

Nie zapomni też nigdy, jak żyje się bez wody i kanalizacji. - Załatwialiśmy się do woreczków foliowych, bo jak splukiwałam wodę, to kanaliza wybijała u rodziny głuchoniemych piętro niżej. Tomek nie rozumiał do końca, dlaczego ma się załatwiać do reklamówki, ale to zapamiętał. Jak przeprowadziliśmy się w końcu na Wildę, to po kilkanaście razy dziennie biegał do ubikacji, wodę spuszczał - opowiada Karolina.

Wodę Skrzypczakowie nosili w pięciolitrowych baniakach. - Codziennie z matką robiłyśmy kilka kursów po wodę. Ja po trzech operacjach, bo zdiagnozowano u mnie nowotwór, ledwo wносиłam je po schodach - mówi Karolina.

Korzystali z plastikowych talerzy i łyżek.

Grażyna: - Kąpałiśmy się u koleżanki. Praliśmy również. Torba z Biedronki naładowana i w drogę.

Starła się ubierać na ciemno, żeby ubrania nie brudziły się tak szybko.

Zimą dzień zaczynał się od skuwania fekaliów z klatki schodowej, bo płynąca schodami kanalizacja zamarzała. - Musiałam to robić, by dziecko zaprowadzić do szkoły - mówi Karolina.

Nie wytrzymała, kiedy na klatce schodowej wybuchły wojskowe race. - Dym był wszędzie, myślałam, że kamienica się pali. Zobaczyłam synka przy drzwiach z pluszakami pod pachą, jak broda mu się trzęsie... Po tym zdarzeniu Tomka zbadali lekarze, ustalili, że podtruł się dymem.

Tomek trafił pod opiekę psychologa. - Kiedy pani psycholog go zapytała, co mama najbardziej lubi robić, odpowiedział: "patrzeć przez judasza". Bo my z matką na zmianę przy drzwiach czatowałyśmy.

W marcu rodzina opuściła Strusia i przeprowadziła się na Wildę. - Trzeba było wszystko wyremontować, ale przynajmniej był spokój. Po tych racach bałam się o nasze życie, o Tomka - tłumaczy.

Rodzina wystąpiła do sądu. Domaga się odszkodowania od spółki Beneficjal za wyrządzone przez Ś. krzywdy.

Karolina: - Tomek jak słyszy w telewizji o Piotrze Ś. i Pawle Ż., to wszystko w nim się gotuje. Choć wiele rzeczy wyparł już z pamięci, niektóre z tamtych wydarzeń na zawsze pozostawiły ślad w jego psychice. Nigdy im tego nie wybaczę.

### **Janina: staruszce każecie bandytów nagrywać?**

Piotrowi Ś. nie zamierza wybaczyć także Janina Jędraszek z ul. Piaskowej. Podobnie jak Skrzypczakowie złożyła w sądzie pozew o odszkodowanie. Zapłacić miałyby spółka Kappa Inwest, ówczesny właściciel kamienicy, która zatrudniła "czyściciela". Janina spotkanie z nim przytłoczyła udarem.

Z dorosłym synem mieszka w 80-metrowym mieszkaniu. Żyje z emerytury - 1100 zł, syn ma 520 zł renty. Siedzimy w pokoju, gdzie Janina spędza całe dni i noce. Po półgodzinie palce u nóg zaczynają drętwieć z zimna. Choć elektryczny piec chodzi niemal bez przerwy, temperatura w pokoju nie przekracza 14 stopni. Janinie też zimno, choć ma na sobie kilka swetrów i ocieploną kamizelkę. - Płacę za ogrzewanie kilkaset złotych miesięcznie, ale nic to nie daje, bo z żadnej strony nie mam już sąsiadów. Kamienica jest wyziębiona - opowiada. Co kilkanaście minut przynosi kolejną filiżankę z gorącą herbatą.

Rodzina Janiny mieszka w kamienicy od lat trzydziestych XX w. - I więcej nas jest tu takich. Niemiec nas nie wyrzucił, próbują to zrobić dopiero w wolnej Polsce. Sama się nie wyprowadzę. Dopiero w trumnie mnie stąd wyniosą - mówi.

O kamienicy przy ul. Piaskowej zrobiło się głośno jesienią 2011. Wcześniej budynek należał do firmy Fawor. W październiku kupił go Kappa Inwest.

- W dniu, w którym nas o tym poinformowano, do drzwi zapukali ludzie z Fabryk Mieszkań i Ziemi. Wtedy, jako pierwsza w kamienicy, ujrzałam Piotra Ś. - wspomina Janina.

Była sama w domu, kiedy w mieszkaniu obok usłyszała hałasy: - Sąsiadka już nie żyje, zastanawiałam się, co tam się dzieje. Wysłałam, patrzę: drzwi do mieszkania otwarte, w środku jakiś facet demontuje piece kaflowe, wrywa drzwiczki. Ja pytam, co robi, a on, że jest pełnomocnikiem właściciela. Nagle pojawił się Ś. i przedstawił się jako właściciel - opowiada Janina.

aprosiła Ś. do domu. - Powiedziałam, że inaczej wyobrażam sobie rozmowę z właścicielami, zaproponowałam, by usiadł, ale nie chciał. Stał nade mną w rozkroku, jak bandyta, był ze współnikiem. I mówią, że mam się wyprowadzać czym prędzej.

Dla mnie to było okropne. Przypomniało mi się, jak ojca zabierało gestapo, schowałam się wtedy w kącie. Tylko pamiętam te ich buciory straszne. I w tym momencie Ś. mi się z nimi skojarzył. Powiedziałam, że nie będę z nimi dyskutować.

Następnego dnia zobaczyła, że na klatce schodowej nie ma okien. - W kamienicy zaczęła się panika. Ok. 40 rodzin wtedy mieszkało, ponad połowa puciekała. Ci, co zostali, zbierali się na podwórzu, policję wzywali, chodzili do urzędu miasta, do nadzoru budowlanego. A pracownicy Ś. wzięli się za rozbijanie bruku na podwórku.

W nocy Ś. też przychodził.

Jedną z nich Janina spędziła pod drzwiami zawinięta w koc, bała się. - Ostatnia sąsiadka z mojego piętra uciekła z dziećmi do teściów. Na klatce, tuż pod drzwiami był straszny rumot, głośne uderzenia, wezwałam policję - tłumaczy.

- Policjanci powiedzieli mi, że najlepiej by było, gdybym kupiła kamerę i nagrywała Ś. Wyśmiałam ich. Powiedziałam: "To wy jesteście policją? Staruszce każecie bandytów nagrywać? Jak mam to zrobić, poprosić, by do zdjęcia się ustawili?".

Posłanka Krystyna Łybacka próbowała interweniować, napisała kilka pism do policji i prokuratury. Z mieszkańcami spotkał

się prezydent miasta Ryszard Grobelny. - Głupio się uśmiechał. Mówił, że bardzo mu przykro, ale mieszkań nie ma. Ale gdy u niego byliśmy, z powrotem powstawiano nam okna i drzwi - wspomina mieszkanka Piaskowej.

Nękanie skończyło się, gdy mieszkańcy kamienicy zorganizowali pikietę pod Wielkopolskim Bankiem Spółdzielczym, z którym jest powiązana spółka Kappa Inwest. Rok później, po złożeniu przez Janinę pozwu o odszkodowanie, spółka przysłała list z przeprosinami. - Proponowali ugodę. Powiedziałam, że jak chcą koniecznie moje mieszkanie, to niech postarają się o inne, z miasta, może być mniejsze i do remontu. Wtedy się usunę. Na Piaskowej mam wyremontowane, nowe okna, wszystko to syn zrobił własnymi rękami, braliśmy na remont pożyczki. Nie ma prawa, zgodnie z którym można mnie tak po prostu wyrzucić - mówi.

W tej chwili kamienica przy Piaskowej należy do spółki Stara Piekarnia. Właśnie zaczął się tam kolejny "remont". - Rozwalają ścianki działowe, skuwają tynki, wiertarką przewiercili dziurę do mojego mieszkania. W kamienicy jest coraz zimniej, klatka schodowa oblodzona - mówi Janina.

Nie rozumie, jak miasto, które kiedyś dało jej mieszkanie, może teraz umywać ręce i twierdzić, że problem lokatorów go nie obchodzi.

Cały tekst:

[http://poznan.gazeta.pl/poznan/1,36001,13391579,Wyczyszczeni\\_Zalatwialismy\\_sie\\_do\\_woreczkow\\_foliowych\\_.html?as=3#ixzz2LAzXFp8c](http://poznan.gazeta.pl/poznan/1,36001,13391579,Wyczyszczeni_Zalatwialismy_sie_do_woreczkow_foliowych_.html?as=3#ixzz2LAzXFp8c)